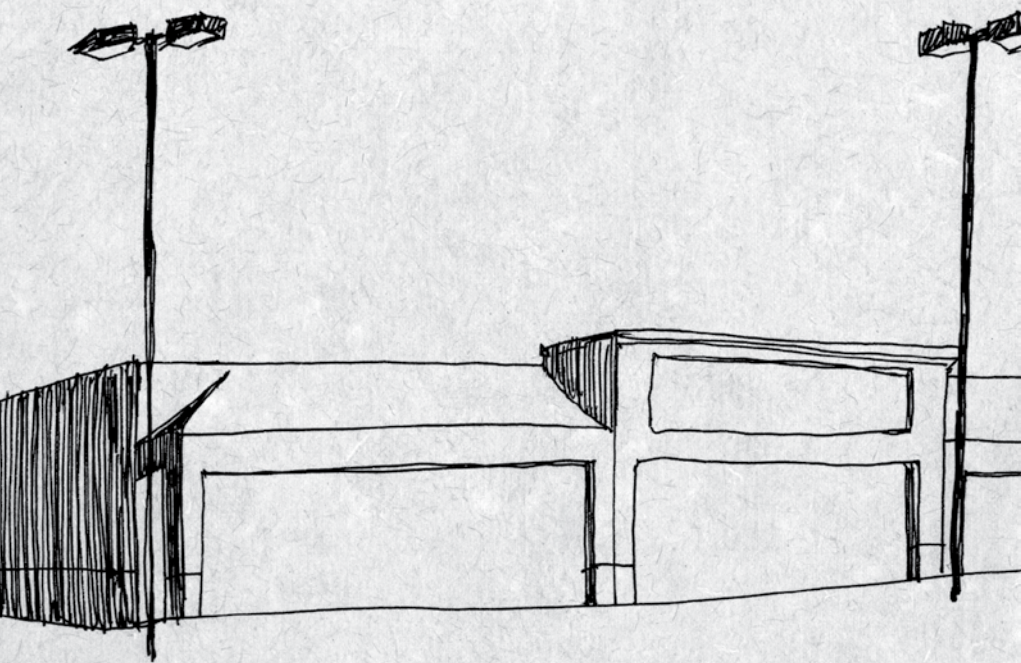


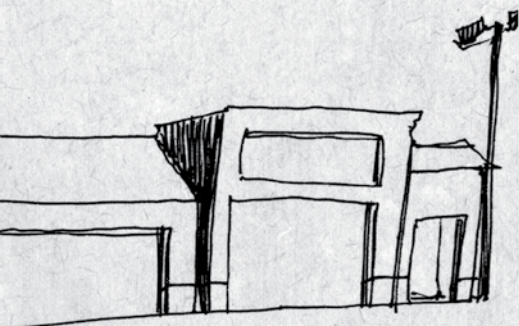
Trzymaj się



TRZYMAJ SIĘ

Nina LaCour

*zilustrowała MIA NOLTING
przełożyła ZUZANNA BYCZEK*





OPIEKA MEDIALNA



Tytuł oryginału: *Hold Still*

First published by DUTTON BOOKS
An imprint of Penguin Random House LLC

Text copyright © 2009 and 2019 by Nina LaCour

Illustrations copyright © 2009 by Mia Noling

Cover art © 2019 by Adams Carvalho

Cover design by Samira Iravani

Endpaper art © 2017 by Adams Carvalho

Copyright © for the translation by Zuzanna Byczek

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Danuta Kownacka

Korekta: Ida Świerkocka

Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-348-8

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

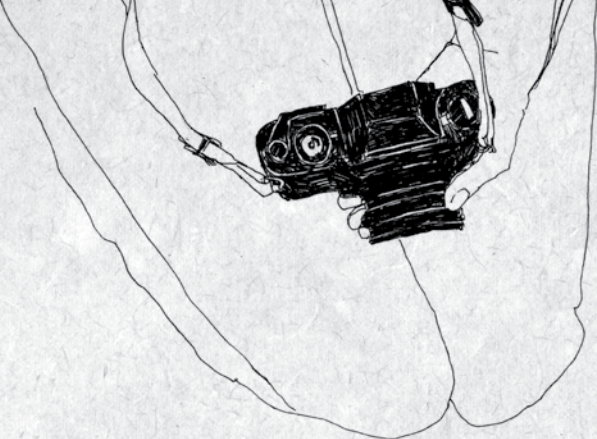
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

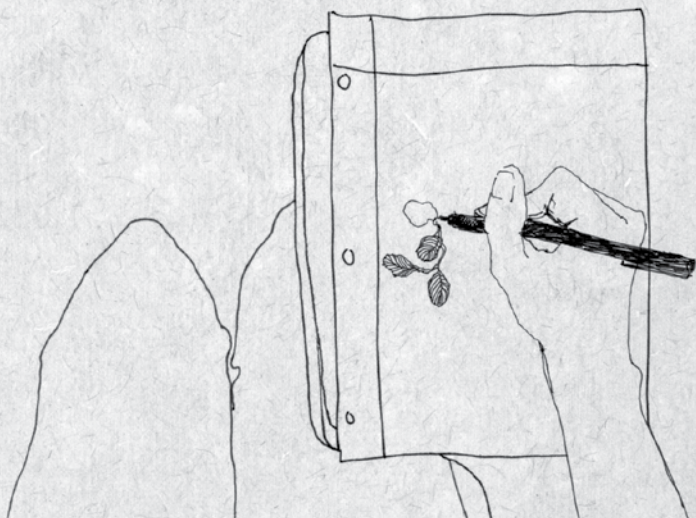
www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: Grafarti

Wydrukowano na papierze Creamy 80,
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.



Mojej rodzinie i Kristyn





LATO

Patrzę na krople wody kapiące z moich włosów. Ściekają po ręczniku i zbierają się w kałużę na siedzeniu sofy. Serce wali mi tak mocno, że dudni w uszach.

– Kochanie. Posłuchaj.

Mama wypowiada imię Ingrid, a ja zaczynam mruczeć. Nie jest to żadna konkretna melodia, tylko jedna przedłużona nuta. Wiem, że wychodzę na wariatkę, wiem, że w ten sposób niczego nie zmienię, ale lepsze to niż płacz, lepsze niż krzyk, lepsze niż słuchanie tego, co inni mają mi do powiedzenia.

We wnętrzu mojej piersi coś pęka – kotwica, siła grawitacji. Jeszcze moment i zapadnę się w sobie. Z trudem wlekę się na górę, wciągam na siebie dzinsy i koszulkę bez rękawów z wczoraj. I wychodzę. Już jestem na ulicy, skręcam za róg, na przystanek. Tata mnie woła, ale nie odpowiadam. Wskakuję do autobusu w ostatniej chwili, akurat gdy drzwi się zamykają. Znajduję miejsce na końcu i odjeżdżam. Jadę przez Los Cerros i kolejne miasto, aż docieram do nieznannej ulicy. Tam wysiadam. Kulę się na ławce na przystanku i próbuję

uspokoić oddech. Światło tutaj jest inne, bardziej niebieskie. Mija mnie uśmiechnięta mama z dzieckiem w wózku. Lekki powiew porusza gałęzią. Usiłuję stać się lekka jak powietrze.

Ale moje dłonie są niespokojne, muszę je czymś zająć, dlatego zaczynam skubać ławkę w miejscu, gdzie drewno jest lekko odłupane. Łamię już i tak krótki paznokieć przy prawej dłoni, ale udaje mi się oderwać kawałek drewna. Chowam go w zagłębieniu dłoni i podważam następny.

Przez całą noc słuchałam nagrania własnego zapętlonego głosu, recytującego lekcję biologii. Teraz też rozbrzmiewa mi w głowie, podkład muzyczny do katastrofy, zagłusza inne dźwięki: „Jeśli brązowooki mężczyzna i brązowooka kobieta mają dziecko, najprawdopodobniej ono również będzie miało brązowe oczy. Ale jeśli i ojciec, i matka są nosicielami genu niebieskich oczu, możliwe, że dziecko będzie miało oczy niebieskie”.

Obok mnie siada starszy gość w swetrze ze wzorem płatków śniegu. Moja garść jest już pełna drewnianych odłamków. Czuję, że się gapi, ale nie mogę przestać. Mam ochotę zapytać: „I co się lampisz? Jest gorąco, czerwiec, a ty masz na sobie bożonarodzeniowy sweterek”.

– Skarbie, potrzebujesz pomocy? – pyta.

Jego wąsy są rzadkie i siwe.

Nie odrywam wzroku od ławki, tylko kręcę głową i mówię:

– Nie.

Wyjmuje telefon z kieszeni.

– Może chcesz zadzwonić?

Moje serce wybija się z rytmu i dostaję ataku kaszlu.

– Może zadzwonię do twojej mamy?

„Ingrid ma jasne włosy i niebieskie oczy, a jej ojciec ma oczy brązowe, czyli jest nosicielem recesywnego genu niebieskich oczu”.

Zbliży się autobus. Starszy gość wstaje, ale jeszcze się waha.

– Skarbie... – mówi i unosi rękę, jakby chciał mnie poklepać po ramieniu, jednak się rozmyśla.

Moja lewa dłoń jest już przepełniona, odłamki zaczynają się z niej wysypywać. Nie jestem żadnym skarbem. Jestem dziewczyną bliską całkowitego rozpadu.

Starszy gość się cofa, wsiada do autobusu i znika.

Ulicą jadą samochody. Jedna rozmazana smuga po drzewach. Czasem zatrzymują się na światłach albo przepuszczają pieszego, ale zawsze w końcu ruszają dalej. Chyba tu zamieszkałam, zostanę na zawsze, rozdlubię całą ławkę, aż zostanie tylko górką drewnianych kawałków na chodniku. Zapomnę, jak to jest troszczyć się o drugą osobę.

Podjeżdża autobus, ale macham, żeby się nie zatrzymywał. Kilka minut później z tylnego siedzenia niebieskiego samochodu patrzą na mnie dwie małe dziewczynki – jedna jasna, druga ciemniejsza, brunetka. We włosach mają kolorowe spinki. Możliwe, że siostry, jednak to mało prawdopodobne. Przekrzywiają głowy, żeby lepiej mnie zobaczyć. Gapią się uparczywie. Kiedy światła zmieniają się na zielone, wystawiają za okno drobne rączki i machają szybko i zawzięcie, jakby z ich nadgarstków wyrosły trzepoczące ptaki.

Jakiś czas później zjawia się mój tata. Przechyla się nad fotelem pasażera i otwiera drzwi. Zapach skóry. Zimne, rozrzedzone powietrze z klimatyzacji. Wsiadam. Pozwalam się zawieźć do domu.

2

Następny dzień przesypiam. Za każdym razem, gdy idę do łazienki, staram się nie patrzeć w lustro. Raz jednak miga mi moje odbicie: wyglądam, jakby ktoś mi podbił oczy.

3

O następnym dniu nie mogę nic powiedzieć.

4

Jedziemy autostradą numer jeden w żółwym tempie, ponieważ tata jest ostrożnym kierowcą i panicznie boi się wysokości. Poniżej z jednej strony są skały i ocean, z drugiej – gęste drzewa oraz znaki powitalne przy wjazdach do miejscowości o populacji liczącej osiemdziesiąt cztery osoby. Mama zabrała całą swoją kolekcję płyt z muzyką klasyczną, teraz kolej na Beethovena. *Dla Elizy*, zawsze gra ten utwór na pianinie. Teraz miękko przebiera palcami na kolanach.

Na przedmieściach niedużej miejscowości zjeżdżamy z autostrady na lunch. Siedzimy na starym kocu. Rodzice patrzą na mnie, a ja – na zniszczony materiał, na miejsca, w których ręcznie zacerowano dziury.

– Są pewne rzeczy, o których powinnaś wiedzieć – odzywa się mama.

Uważnie słucham przejeżdżających samochodów, szumu fal, szelestu papieru śniadaniowego. Ale niektóre słowa się przebijają: „depresja kliniczna”, „leki”, „już w wieku

dziewięciu lat”. Ocean jest daleko poniżej, ale fale rozbijają się tak głośno, jakby uderzały tuż obok, jakby mogły nas zatopić.

– Caitlin? – zwraca się do mnie tata.

Mama dotyka mojego kolana.

– Kochanie? Czy ty w ogóle słuchasz?

Nocujemy w chacie z łózkami piętrowymi, zbudowanej z przeciętych bali. Myję zęby tyłem do lustra, wdrapuję się po drabince na górną pryczę i udaję, że zasypiam. Rodzice krzątają się po całej chacie, co powoduje skrzypienie, odkręcają i zakręcają wodę, spłukują toaletę, świszczą suwakami przy torbach podróżnych. Przyciągam nogi do piersi, staram się zajmować jak najmniej miejsca.

W końcu robi się ciemno.

Otwieram oczy i wbijam wzrok w drewnianą ścianę. Kiedyś czytałam, że drzewa rosną od środka na zewnątrz. Jeden słój, czyli jedna warstwa, to roczny przyrost. Przesuwam po nich palcami i liczę.

– To jej dobrze zrobi – mówi cicho tata.

– Mam nadzieję.

– Przynajmniej wyrwała się z domu. Tutaj jest tak cicho i spokojnie.

Mama szepcze:

– Od kilku dni prawie się nie odzywa.

Przestaję liczyć, zamieram. Czekam na ciąg dalszy, ale mijają minuty, a potem rozlega się świszczące chrapanie taty, któremu wtóruje równy oddech mamy.

Moje dłonie tracą rachubę lat. Za ciemno, żeby zacząć od nowa.

Budzę się o trzeciej czy czwartej, gwałtownie wyrwana ze snu. Wbijam spojrzenie w konstelacje, wymalowane na suficie. Staram się za bardzo nie mrugać, bo wtedy widzę twarz Ingrid, jej zamknięte oczy i nieruchome usta. Powtarzam biologię, żeby oczyścić umysł. „W procesie mejozy zachodzą dwa podziały, w wyniku których powstają cztery komórki potomne”, szepczę niemal bezgłośnie, żeby nie obudzić rodziców. „Każda z komórek potomnych ma połowę chromosomów komórki wyjściowej”. Na zewnątrz przejeżdża samochód. Pasma światła omiata sufit, konstelacje. Powtarzam te zdania, aż słowa się zlewają: „W procesie mejozy zachodzą dwa podziały w wyniku których powstają cztery komórki potomne każda z komórek potomnych ma połowę chromosomów komórki wyjściowej w procesie mejozy zachodzą dwa podziały”...

Po pewnym czasie zaczynam się uśmiechać. Za każdym razem te zdania brzmią coraz zabawniej. W końcu chwytam poduszkę i wciskam w nią twarz, żeby rodziców nie obudził mój śmiech, który kołysze mnie do snu.

5

Któregoś gorącego poranka w lipcu tata wypożycza samochód, bo musi wracać do pracy. Ale mama i ja zostajemy w Północnej Kalifornii, jakby to było jedyne nam znane miejsce na Ziemi. Siedzę z przodu i nawiguję, żeby utrzymać nas w niewidzialnych granicach na mapie: nie dalej niż kilka kilometrów na północ od Oregonu, nie dalej na południe niż do Chico. Lato upływa nam na wędrówkach po grotach i lasach, surwiwalu na krętych drogach i jedzeniu kanapek ze

smażonym serem w przydrożnych restauracjach. Rozmawiamy tylko o tym, co tu i teraz: o sekwojach, kelnerkach, smaku mrożonej herbaty. Któregoś wieczoru pośrodku niczego odkrywamy maluteńkie kino. Oglądamy film dla dzieci, bo tylko to grają, ale patrzymy raczej na roześmiane i wrzeszczące dzieciaki niż na ekran. Dwa razy przypinamy czołówki i łazimy po jaskiniach lawowych w Parku Narodowym Lassen. Mama potyka się i krzyczy. Echo powtarza jej głos bez końca. W moich snach pojawia się gość od sweterka. Unosi się w powietrzu pośrodku lasu, podpływa do mnie, ubrany w smoking z czerwoną muchą. „Skarbie”, mówi i wyciąga rękę z telefonem. Wiem, że po drugiej stronie jest Ingrid, czeka, aż z nią porozmawiam. Sięgam po telefon i nagle dostrzegam coś dziwnego: drzewa są zielone, ziemia – brązowa, ale ja – cała na czarno-biało.

Rano mama pozwala mi napić się kawy i powtarza:
– Kochanie, jakaś ty blada.

6

I nagle, nie wiadomo jak i kiedy, nadchodzi wrzesień.
I musimy wracać.